TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 37. *Chicago, Ills., 11 Marca, 1886 r.* Rok II.

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO

CZĘŚĆ DRUGA:

KWIAT ALOESU

(Ciąg dalszy.)

Tym sposobem usiłowała swoją panię uspokoić. Ale Ellena ciągle jeszcze była wachającą, gdy ten, który był przedmiotem ich rozmowy, wszedł do pokoju chorej.

— Gdzie jest ayah? — zapytał.

— Na dole, — odpowiedziała Zuzia.

- - A Miran-Hafaz?

— Ten znajduje się w bibliotece z pułkownikiem Mowbray. Co się tyczy Willa Sidelera, nie lękam się, aby nam mógł dziś przeszkodzić; uskarża się przez cały dzień, że mocno osłabiony; na nogach utrzymać się nie może.

Doktor Guyot uśmiechnął się; wiedział doskonale, dla czego królikarz nie będzie w stanie być im na zawadzie. Byłby i względem piastunki użył tej samej przezorności, ale osobliwsze zwyczaje tej kobiety i gorliwość, jaką zachowywała w dopełnianiu swoich przepisów religijnych, które jej zabraniały używać pokarmów nie swo-

ją ręką przyrządzonych, nie pozwoliły mu uciec się do tego samego sposobu.

— Nie masz czasu do stracenia, miss de Vere, — rzekł doktor. — Nadeszła chwila, w której musisz uzbroić się w odwagę i stałość. Przyjaciele twoi są już na miejscu umówionem.

Sierota rzuciła na niego wzrok przenikliwy, jak gdyby czytać chciała w głębi jego duszy. Starzec ze zwykłą obojętnością wytrzymał to spojrzenie, odgadł jej myśl, która go ani zdziwiła, ani obraziła; dla niego bowiem cnota i występek były czczemi słowami. Gdyby to miało mu korzyść przynieść, byłby oddał tę młodą dziewicę w moc jej prześladowców z tą samą skwapliwością, z jaką obecnie ratować usiłował.

— Pani mi nie dowierzasz! — odezwał się. — Bardzo to pojmuję; mało jest ludzi na tym świecie gotowych do wsparcia nieszczęśliwych, a rzadko kiedy za darmo świadczą komu przysługę. Powiedziałem już, że działam z rozkazu jednego z przyjaciół twoich.

— To prawda; aleś pan nazwiska jego nie wymienił.

— Jest on bowiem z liczby tych ludzi, których z czynów poznać można, a nie z nazwiska. Jednak mogę przytoczyć dwóch innych imiona, którzy niecierpliwie waszego przybycia oczekują.

— Któż oni są? — zapytała chciwie miss de Vere.

— Pan Elworthy jest ztąd o kilka kroków z pojazdem, a młody parobczak, imieniem Joe Beans, jak sobie przypominam, ukrywa się w tym domu, aby wam ucieczkę ułatwić.

Na te słowa oczy młodej panienki zajaśniały radością. Imię pełnomocnika jej zmarłego wuja, również jak nazwisko przychylnego sługi Henryka Ashton rozproszyły do reszty jej podejrzenia. Zuzia naturalnie zupełną pokładała ufność w odwadze i wierności swojego kochanka, i w myśli widziała się już wolną wraz z swoją ukochaną panienką.

Stary lekarz zbliżył się do stolika i zaczął przyrządzać napój, który chorej miał wzmocnić siły i odwagę, poczem podał jej szklankę.

— Pij, miss Vere, a na godzinę przynajmniej, lica twe przybiorą rumieniec zdrowia, a krew żywiej krążyć zacznie w twych żyłach. Lekarstwo to siłę i wolność mieści w sobie!

Ellena bez namysłu wychyliła do dna podany posiłek.

— Ubierz twoją panię, — rzekł lekarz do młodej pokojówki, — ja wrócę niebawem.

Wchodząc po upływie kilku minut, zastał sługę i panią gotowe do podróży. Rekonwalescentka miała oczy pełne ognia i cerę ożywioną, co dawało nadzieję, że się powiedzie powzięty zamiar. Obie były czarno ubrane, stosownie do polecenia lekarza.

— Czyście już gotowe? — zapytał.

Zuzanna zgasiła świecę i wszyscy troje udali się cichutko po wschodach. Serca ich gwałtownie uderzać musiały za każdem skrzypnięciem dębowych stopni. Chwila, której potrzebowali, aby się dostać do sieni wchodowych, wiekiem im się zdawała. Sień ta słabo oświetlona była lampą, zwieszoną u stropu.

Skoro tam doszli, dwie osoby ukazały się z pod wschodów, Joe Beans i Rudy Ralf, którzy dla uniknienia najlżejszego szmeru, zdjęli trzewiki i jak widma cicho posuwali się po kamiennych płytach naprzeciw zbiegłym niewiastom.

Zuzia zaledwie zdołała się powstrzymać od radośnego okrzyku, poznając narzeczonego. W jego obecności wszelka jej obawa pierzchnęła, bo znała jego odwagę, siłę i zręczność. Poczciwy chłopak uścisnął jej dłoń w milczeniu, potem podał z uszanowaniem ramię Ellenie, która je przyjęła uprzejmie, przypominając sobie, że Henryk polecił go jej jako wiernego przyjaciela.

Jużeśmy wyżej wspomnieli, że drzwi główne w Cromwell-House we dnie i w nocy były zamknięte, a klucze zostawały w ręku Mirana i pułkownika. Chcąc tedy wyjść z domu, należało przechodzić przez kuchnię i oficyny.

Przebyli część korytarza oddzielającego wielką salę od izb dla domowników przeznaczonych, kiedy Ralf wrócił i szepnął coś do ucha Joemu, który natychmiast stanął nieruchomy.

— Co ten malec mówi? — spytał doktor cichym głosem.

— Will Sideler jest w kuchni, — odrzekł młody chłopak.

— Czy sam?

— Sam.

— Pójdę z nim pomówić! — przemówił pewnym tonem starzec, a jak usłyszycie gwizdanie, wejdźcie śmiało; ja ręczę za wszystko.

Po tych słowach pocisnął klamkę i wszedł do kuchni, zamykając starannie drzwi za sobą.

Will Sideler siedział przed ogniskiem; cierpienie widocznie malowało się w całej jego postaci. Muskuły twarzy drgały konwulsyjnie, pomimo, że usta miał zaciśnięte.

— Nierozważny! — zawołał lekarz, — pocóżeś wyszedł z łóżka?

— Bo nie mogę znieść samotności; boleści moje wzmagają się, gdy sam jeden w izbie zostaję.

— Dam ci coś na uspokojenie bolów. Oto jest balsam, który sprawia sen zbawienny i pokrzepiający.

To mówiąc, przytknął mu do nosa małą flaszeczkę.

Jak tylko pacyent wciągnął woń znajdującego się weń płynu, wywrócił się na stołku; głowa mu się w tył przechyliła, jak gdyby był piorunem rażony.

Wtedy doktor gwizdnął, a zbiegi szybko przechodząc przez kuchnię, ujrzeli się wnet wolnymi.

— Dzięki Bogu! zawołała sierota oddychając świeżem powietrzem, — jesteśmy ocaleni!

Zaledwie tych słów domówiła, gdy krzyk przeraźliwy, w którym głos Indyanki poznała, wstrząsnął całem jej ciałem z przerażenia. Ayah w pobliżu domu chodząc, usłyszała ten radosny okrzyk Elleny.

— Teraz biegnijmy! — rzekł Joe, — chodzi o życie nasze!

Zdjęci przestrachem, zaczęli biedz ku furtce do połowy bluszczem i zielskiem osłoniętej. Ralf trzymając klucz, pospieszył naprzód; już ją otworzył, gdy Zara poskoczyła ku Ellenie i oplatając ją ramionami, usiłowała ją wstrzymać.

— Puść mnie, niech przejdę! — rozkazała Ellena głosem stanowczym.

— Nigdy! Mówiłam ci, napróżno chciałabyś uniknąć przeznaczonego losu; on jest zapisany głoskami niezatartemi i nieomylnemi!

Joe nie zważając na proroctwa Indyanki, chwycił ją w pół, usiłując oderwać od Elleny; ale opierała się z taką siłą i wytrwałością, że nie było sposobu ją oddzielić.

Widocznem było, że swym okrzykiem ostrzegła mieszkańców domu, bo w krótce ujrzano światła poruszające się w różnych kierunkach obszernego zabudowania.

— Wybaw mnie! — wołała miss de Vere wysilona bezskuteczną walką, — ocal mnie przez wzgląd na twego przyjaciela Henryka, albo mnie zabij na miejscu.

Na wspomnienie towarzysza i wspólnika dziecinnych figlów, młody chłopiec wydobył bez wachania pistolet z kieszeni, i przykładając lufę do czoła piastunki, rozkazał jej, by puściła swoją panię.

— Możesz strzelać! — rzekła spokojnie Zara, zginę, a jej nie puszczę!

Przywiedziony do ostateczności, usłyszawszy głos Mirana, wzywającego służbę, by za nim spieszyła, Joe położył palec na cynglu.

— Pal! — zawołał doktor.

— Niech mi Bóg odpuści! — rzekł młody parobczak blady z przerażenia, — samaś sobie winna!

Rozległ się wystrzał; ale Ellena gorączkowym ruchem ręki, odtrąciła lufę pistoletu. Nie mogła dozwolić na zabójstwo tej niewiasty, którą tak czule niegdyś kochała, nie chciała ją widzieć konającą u stóp swoich.

— Nie! na to nie zezwolę; wolę, żeby moje życie padło ofiarą. Choć tak niedobra, nie mogę patrzeć na jej śmierć.

Czego nie zdołała dokonać groźba nieochybnej śmierci, wyrazy sieroty w jednej chwili uskuteczniły. Zara puściła ją z objęć, jakby niemocą nagle dotknięta. To szlachetne poświęcenie się wychowanki, skruszyło jej żelazną wolę. Ale na nieszczęście było już zapóźno. Skutek zbawienny cudownego lekarstwa doktora Guyot nie mógł wytrzymać tyle gwałtownych wstrząśnień, i biedna ofiara srogich prześladowań padła bezsilna na ręce Zuzanny.

Nie było chwili do stracenia. Joe porwał zemdloną na ramiona, przeszedł otwartą furtką i podążył ulicą, a za nim trzej towarzysze trudnej wyprawy. Miran dopędził go dopiero przy końcu alei. Na szczęście dla uciekających, nie miał przy sobie broni.

— Łotrze! — zawołał Indyanin rzucając się na niego, — oddaj Ellenę!

— Tyś sam łotr! — rzekł Joe składając na murawie biedną sierotę i gotując się bronienia Elleny, choćby z utratą własnego życia. — Jeszcze nigdy nie uciekałem przed żadnym człowiekiem i nie cofnę się przed tobą!

Nastąpił bój straszny i długi. Obaj zapaśnicy byli w kwiecie wieku, obadwa silni i odważni. Dwukrotnie Miran uchwycił Joego za gardło, chcąc go zdławić, ale ten w natężeniu

rozpaczliwem, zdołał odepchnąć jego rękę; lecz już czuł słabnące siły.

— Nikczemny napastniku! — mruknął zaciskając zęby.

Walka byłaby fatalnie wypadła dla narzeczonego Zuzi, gdyby doktor Guyot, Red-Ralf i młoda dziewczyna nie nadeszli byli właśnie w porę, bo Joe już ledwo oddychał, a oczy mgłą mu zachodzić poczynały ze znużenia.

Nie rzekłszy słowa, lekarz ukląkł na trawie tuż obok walczących i swemi kościstemi palcami tak ścisnął żyły na skroniach Mirana, że ten wkrótce musiał puścić swego przeciwnika.

— W sam dobry czas! — rzekł doktor, pomrukując z radości, — w sam czas przyszedłem!

Pocałunek dany na prędce Zuzannie dowiódł, że jej kochanek choć zmęczony, nie był ranny; ale niebezpieczeństwo jeszcze nie całkiem minęło, bo pułkownik Mowbray biegł z domownikami w pochodnie opatrzonymi.

— Gdzie jest miss Vere? — zawołał Joe, oglądając się naokoło. — Porwana! Oh, muszę wrócić do tego domu, muszę ją wydobyć z tej piekielnej otchłani, albo tam kości moje zostawię!

— Jej tam nie ma, — rzekł Ralf, który z kocią zwinnością podczas bójki wdrapał się był na drzewo.

— A gdzież się więc podziała?

— Pojazd zbliżył się, jakiś pan wysiadł z niego, wziął na ręce tę młodą pannę, i odjechał z nią spiesznie.

— Ocalona! — zawołał Joe z radością. — Bogu dzięki! Elworthy dobrze czatował!

Tak był przekonany o tem, że wziął Zuzannę pod ramię, i zaczął z nią uchodzić. Guyot został jeszcze, aż go pułkownik dopędził.

— Nędzniku! — krzyknął na starca.

Lekarz uśmiechnął się pogardliwie. Lękał się jedynie Miran-Hafaza; gniew jego sprzymierzeńca wcale go nie zastraszał.

— Gdzie moja siostrzenica? — zapytał jej niegodny opiekun.

— Zapewne z tymi, których towarzystwo przekładała nad wasze. Uspokój się, pułkowniku! nie marszcz brwi i nie wyszukuj wyrazów zelżywych! Wiem co to wszystko znaczy. Panna uniknęła waszych sideł; książę indyjski traci oblubienicę, a pan nagrodę, którą ci przyobiecano.

To powiedziawszy, zwrócił się i poszedł swoją drogą.

Chwilę namyślał się pułkownik, czy ma go ścigać. Rozsądek mu szeptał, że niepolitycznie byłoby szukać zaczepki z tym człowiekiem.

— Musiano mu hojnie zapłacić! — mruknął, — nigdy stary truciciel, jakkolwiek chciwy z niego sknera, nie zdradził przedtem nikogo...

Po godzinnem wyczekiwaniu na płaszczyźnie, pojazd jakiś zajechał przed karczmę pod godłem: „Herby królewskie;" znajdował się w nim pan Elworthy...

— Gdzież miss Ellena? wyjąkał Joe.

— Wiem, że się wyprawa nie udała, — odparł notaryusz widocznie zmartwiony; — ale czekałem do końca.

— I nie widziałeś pan jej? nie wiesz nic o niej?

— Zupełnie nic.

Biedny chłopak wybiegł z austeryi, przejęty rozpaczą; ani prośby Zuzanny, ani usiłowania jego towarzyszów wstrzymać go nie zdołały. Prawnik wypytywał chłopczynę, który mu to samo powtórzył co już Joemu opowiadał, że widział jakiegoś pana, przybywającego w karecie, który porwał zemdloną panienkę i z nią odjechał.

— Biedne dziecko! — rzekł prawnik z westchnieniem, jej ciężkie próby jeszcze się nie skończyły!

XI.

Tymczasem młody Ashton zajęty był skrzętnie poszukiwaniem syna swego wspaniałomyślnego dobroczyńcy. Przypominają sobie zapewne szanowni czytelnicy, że w Rzymie nieszczęśliwy sir William utracił ślad dziecięcia i małżonki, którą za niewierną uważał. Nie będziemy opowiadali zabiegów, jakie czynił Henryk, udając się do policyi rzymskiej, do samego papieża; dostatecznem będzie powiedzieć, że jako przydzielony do poselstwa angielskiego, umiał pozyskać wielu przyjaciół i przyjaciółek możnych, swą urodą, wytworną powierzchownością, niemniej jak wymową i wykształceniem, a względy tych osób wysoko stojących, bardzo mu były pomo-

cne w jego usiłowaniach. Wszelako, podczas kiedy szukał dziecięcia, znalazł jego matkę, lady Mowbray, którą miano za umarłą, a która schroniła się do klasztoru i została zakonnicą; potrzeba było wyraźnego upoważnienia od Piusa VII, aby otrzymać jej wyjście z murów klasztornych.

Lady Mowbray była niewinną. Stawszy się ofiarą haniebnej intrygi pułkownika Mowbray szwagra swego, który już wtedy czychał na spadek po swoim bracie, uwierzyła, że mąż ją nie kocha, że wszedł w nieprawne związki z inną kobietą; pogrążona w rozpaczy, dała się skłonić do ucieczki.

Kiedy Henryk Ashton wspomniał jej o synie, biedna kobieta ukryła w dłoniach oblicze, i zalewając się łzami, zawołała żałośnie:

— Syn mój, niestety! powierzony zostął występnemu stryjowi swemu.

Ta wiadomość wprowadziła Henryka na domysł; iż Walter Mowbray musiał być synem sir Williama. Czyż bowiem młodzieniec tak zacnego i szlachetnego charakteru mógłby być synem niegodziwego pułkownika? Nie powiedziawszy nic stanowczego w tym względzie, dał tylko do zrozumienia stroskanej matce, żeby nie traciła nadziei odszukania utraconego dziecięcia, bo już zaczyna odszukiwać jego ślady, i może niebawem będzie go mogła uścisnąć i stęsknionemu ojcu powrócić.

Wracając do siebie pełen nowej otuchy, cofnął się przerażony nagle, ujrzawszy ciało swego przyjaciela nikczemnie zamordowanego.

Gdy się młodzian utulić nie mógł w swej żałości po stracie ukochanego towarzysza, dano mu znać, że skrytobójca został schwytany i pragnie mu uczynić pewne zeznania. Henryk udał się natychmiast do więzienia i ujrzał się w obecności Anglika, który mu zupełnie był nieznany.

— Wezwałem pana, — rzekł więzień, — ale nie dla proszenia o przebaczenie lub litość. Zbyt zawiniłem przeciw panu, bym się mógł spodziewać przebaczenia; co do litości, nie żądam jej wcale.

— Odpuszczam ci, choć nie śmiesz prosić mnie o to, — rzekł Henryk z widocznem wysileniem, aby zachować spokój. — Wyrządziłeś mi pan wielką krzywdę; zgruchotałeś najdroższą nadzieję mego życia w chwili, kiedy się spełnić miała, pozbawiłeś mnie najlepszego przyjaciela i zniweczyłeś moje zaufanie do ludzi. Przebaczam ci, jak to powinien uczynić chrześcianin względem bliźniego, którego godziny są policzone.

— Dzięki, o dzięki panu! jesteś wspaniałomyślniejszy, niż sobie wyobrażałem! zobaczysz pan że nie jestem niewdzięczny.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Chciej mnie wysluchać cierpliwie. Pan masz nieprzyjaciela.

— Wiem o tem; nieprzyjaciel ten ucieka się do podstępów i wybiegów jak wąż, zamiast działać otwarcie jak na mężczyznę przystoi. To Miran-Hafaz! Nie potrzebujesz mnie o tem uprzedzać.

— Nie omyliłeś się pan. Ostrzegam cię przed tym człowiekiem, chcąc tym sposobem, o ile to być może, wynagrodzić złe, jakie ci wyrządziłem. Zdaje mi się, że nic ludzkiego w tym młodzieńcu. Wiedział, żem ubogi, że nie miałem potrzebnej odwagi moralnej, by śmiało stawić czoło ubóztwu i poznał, że jak wielu nieszczęśliwych, przekupić mnie można. Zapłacił hojnie, przytłumił me skrupuły ciężarem złota!... Resztę się pan domyślisz.

— Ale cóż mu zawinił Walter, że go zgubić postanowił?

— Cios, który go ugodził, innemu był przeznaczony.

— Komuż tedy?

— Tobie, panie!... Z razu dał mi zlecenie przejmowania całej korespondencyi twojej, lecz przekonał się bez wątpienia, że nie dość raźnie celu swego dopnie. Oto masz pan listy, które do ciebie pisano, odkąd jesteś w Rzymie.

To mówiąc, wydobył spory pakiet listów z podszewki swego wierzchnego surduta.

— Nie czytaj ich pan jeszcze, — dodał widząc, że Henryk zabierał się zedrzeć kopertę, zawierającą wszystkie te pisma. — Lękam się, abyś nie odwołał szlachetnego przebaczenia swego, gdy zasięgniesz wiadomości, które się tam znajdują... Oh, nie przeklinaj mnie, panie!

Młodzieniec potrzebował wiele przezwyciężenia, by poskromić swą ciekawość i schował papiery do kieszeni.

— Dziękuję, oh dziękuję panu! Zapewne wkrótce odjedziesz do Anglii?

— Jak będę mógł najprędzej! Mam się pomścić własnej zniewagi i śmierć Waltera!... Czemuż już nie jestem przed jego mordercą! ty

bowiem byłeś tylko narzędziem rąk jego. Żegnam cię, już się nie zobaczymy na tym świecie! Błagaj o przebaczenie najwyższego Sędziego, przed którym wkrótce masz stanąć.

— Prawdę pan mówisz, nie ujrzymy się już na tej ziemi, chyba żebyś jutro w południe znajdował się około Porta di Popolo.

Dreszcz przebiegł Henryka; tak się nazywało miejsce w Rzymie, gdzie tracono skazanych na śmierć złoczyńców.

— Już tak wcześnie!

— A tak, — odrzekł więzień obojętnie. — Ramię rzymskiej sprawiedliwości tym razem prędko wyroku dokona; tem lepiej!... Nikt mnie żałować nie będzie, oprócz dziecięcia, które może z zadziwieniem zapyta, dla czego ojciec tak je nagle porzucił.

— Masz dziecię?

— Tak jest, sierotą zostanie, bo oprócz mnie, nie ma nikogo z krewnych.

— Ja mu zastąpię ojca, — rzekł Henryk Ashton, po chwili namysłu, w czasie której wrodzona wspaniałomyślność staczała walkę z uczuciem grozy, jakiem go zbrodnia tego człowieka przejmowała. — Gdzież znajdę to dziecię?

Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

WESOŁY SZWANDA.

Kobziarz Szwanda był sobie wesołym człowiekiem i jak wszyscy muzykanci, tak i on czuł nieustannie suchość w gardle. Przytem niezmiernie lubił grywać w karty, a szczególniej w tak zwanego „straszaka." Zadowolniwszy kobzą słuchaczy swoich, oddawał się i on zabawie, lecz tak wytrwale zaglądał do dzbana i stawiał na karty, że zawsze straciwszy co zarobił, z próżną kieszenią odchodził. Rozweselał on towarzystwo nawet i bez dudów, czyli kobzy, dowcipnemi żartami; dla tego też nikt prawie nie opuszczał gospody, dopóki w niej był Szwanda, i jeszcze po dziś dzień w Czechach wrzaskliwą hulankę nazywają „szwanda."

Jednego razu Szwanda podczas odpustu poświęcenia kościoła w Mokrzanach, nagrawszy się na dudach od południa do północy, i zarobiwszy dużo grosza, złożył dudy pomimo nalegań młodzieży, obiecującej mu dobrą zapłatę, gdyby wytrzymał do rana. Już mu było markotno służyć cudzej tylko wesołości; chciał też i sam się uraczyć. Usiadł przeto między sąsiady i zaczął ciągle pić za swe pieniądze i pobudzać towarzystwo różnemi figlami i żartobliwemi słowami do śmiechu. Wreszcie zachciało mu się kart; zachęcał więc sąsiada do straszaka; lecz mimo nawoływania jego nikt nie miał do gry ochoty.

Szwanda nie lubił wychodzić z karczmy, póki miał jeszcze grosz w kieszeni, a dziś zarobiwszy dużo pieniędzy, miał nadzwyczajną chętkę do kart. A że był często zaglądał do dzbana, widocznego sobie podochocił. Nie dał in-

nym spokojności; chciał grać koniecznie. — Widząc, że sąsiedzi statecznie mu odmawiają, wstał rozgniewany i zapłaciwszy co był winien, wyszedł z gospody.

W Drażycach — tak mówił sam do siebie, idąc krokiem niepewnym, — jest odpust, a bakałarz i sołtys lubią się bawić i nie pogardzą straszakiem. Oj tak, w Drażycach zatrzymam się, hu! hu! Przytem podskoczył sobie, przytyknął palcami i o jakie dziesięć kroków się potoczył, zanim równowagę odzyskał.

Noc była widna, a księżyc błyszczał jaki rybie oko. Szwanda przybył na rozstajne drogi, a podniósłszy oczy, zatrzymał się z zadziwieniem. Stado kań i kruków wzbiło się w powietrze; przed nim stała mała budowla na czterech słupach, na poprzek których, leżały belki; u każdej wisiał na wpół już zgniły trup. Szwanda się domyślił, że jest pod szubienicą, jaką to w owych czasach wystawiano po polach i drogach, na postrach złodziei i rozbójników. — Wtem pokazał mu się nagle pan nie wysokiego wzrostu, z bladą twarzą, w czarnem odzieniu, który przybliżywszy się, zapytał cichym głosem:

— Dokąd tak późno, przyjacielu dudarzu?

— Do Drażyc, czarny panie!

— A czybyś nie chciał dudami sobie co zarobić?

— Już mam do sytu tego dudzania; zarobiłem sobie dosyć srebrnego grosza, więc teraz sobie pochulam.

— Ej, co tam srebrne grosze! My tobie złotem zapłacimy! — rzekł czarny pan, i wyjąwszy garść błyszczących czerwieńców, pokazał je Szwandzie.

Dudarz zadumał się, straszak silnie go wprawdzie przynęcał, lecz błyszczący kruszec większy jeszcze miał pociąg; a gdy go czarny pan ujął za rękę poszedł za nim Szwanda jak omamiony. Mięszało mu się w głowie i nie wiedział wcale kędy, dokąd i jak długo nieznajomy go prowadził; to tylko spamiętał, że go często napominał, aby, ile razy mu kto da pieniędzy, lub co do picia, nie dziękował innemi słowy, tylko: „Niech ci się szczęści, bracie!"

Wtem stanął nagle w rzęsisto-oświetlonej izbie, w której siadziało trzech panów podobnie ubranych jak przewodnik dudarza; mieli oni duże kopy złota przed sobą, grali straszaka i grubo stawiali. Do tego obchodziła konewka z winem, z której gracze pili na przemian do siebie.

— Bracia, prowadzę wam kuma Szwandę, — rzekł wchodząc przewodnik dudarza, który w całym kraju tak jest znany, a któregośmy już oddawna tak ciekawi byli usłyszeć. Spodziewam się, że wam zrobiłem przyjemność; wszakże chcemy sobie dzisiaj pochulać, a muzyka doda ochoty.

— Dobrześ zrobił! zawołał jeden z graczy, a obróciwszy się do Szwandy, rzekł:

— Usiądź dudarzu, napij się! — I podał mu konewkę z winem.

Szwanda wziął konewkę, napił się, postawił ją znowu na stole i zdjąwszy czapkę, rzekł:

— Niech ci się szczęści, bracie! tak jak go przewodnik nauczył.

— A teraz graj! zawołał inny z graczy.

I Szwanda usiadł opodal na ławie i dął w kobzę, gdy tymczasem przewodnik jego przysiadł do grających, wyciągnął z kieszeni worek nabity czerwieńcami i wysypał je na stół przed siebie.

Zachuczały dudy Szwandy, i dziwny był wpływ jaki gędźba na tych czterech panów wywarła. Jak gdyby się życie w nich podwoiło, w taką naraz wpadli huczną wesołość. Stawiali wyżej na karty, czerwieńce przenosiły się od jednego do drugiego, a gracze wykrzykiwali wesoło i na stołkach podskakiwali; całe ich ciało rozigrało się jakoby każda żyłka w nich podrygała. — Konewka z winem krążyła, a Szwanda żadnej kolejki nie opuszczał. Lecz co było najdziwniejsza, to to, że konewka nigdy się nie wypróżniała, a nikt jej nie nalewał. Ile razy Szwanda skończył granie, rozlegała się huczna dla niego pochwała, a do jego czapki padały czerwieńce, za co dziękował często powtarzaniem: Niech ci się szczęści bracie!

To trwało kilka godzin, aż nakoniec Szwanda zaczął grać skocznego, który tym czarnym panom tak wjechał w nogi, że rzuciwszy straszaka, porwali się razem i w dzikich skokach gonili się po izbie, co ze względu na ich poważną powierzchowność i wklęsłe twarze, dziwnie wyglądało.

Szwanda przestał grać; dudy na zakończenie kwiknęły, tanecznicy dali jeszcze kilka susów, poczem jeden z nich przystąpił do stołu i wziąwszy torbę dudarza, co tylko złota było

na stole, wszystko do niej wgarnął i podał dudarzowi, mówiąc:

— Oto masz za to, żeś nas tak rozweselił!

Szwanda zaledwie dowierzał oczom swoim. Olśniony widokiem takiego bogactwa, nie wiedział co począć z radości; zapomniał nawet w swem pomieszaniu, jak miał podziękować i zawołał:

— Bóg wam zapłać stokrotnie! Jeszcze tych słów nie domówił, a już wzrok jego pokrył się mgłą i wszystko zniknęło, izba, panowie i karty.

Nazajutrz rano chłop wywoził mierzwę na pole, a zbliżywszy się ku drogom rozstajnym, gdzie wzmiankowana szubienica stała, posłyszał zdala dźwięki. Chłop przysłuchuje się, i im bardziej się przybliża, tem pewniej poznaje, że to dźwięk kobzy; słucha dalej, powątpiewa znowu, aż nareszcie poznaje znaną piosenkę i woła:

— Wszakże to Szwanda! Przybywszy pod samę szubienicę słyszy, że dźwięki te idą z góry; podnosi oczy, a tu Szwanda siedzi w narożniku szubienicy i dmie zapamiętale w dudy, a ciała wisielców huśtają się, rannym poruszane wiatrem.

— Ależ u licha, kumie Szwando, zawoła wieśniak, cóż wy tam na tej wysokości robicie? — Szwanda przebudzony upuszcza dudy, przeciera oczy, a oglądając się dokoła poznaje z przestrachem, gdzie jest. Wieśniak nie bez trudności dopomaga mu zejść, a Szwanda, który tymczasem wytrzeźwiał, opowiada mu, co go spotkało. Przypomniawszy sobie czerwieńce, przetrząsa czapkę, przewraca kieszenie, lecz nie znajduje ani szeląga.

Chłop się żegna i mówi: Toć was Bóg ukarał i nasłał na was złych duchów za to, żeście się tak namiętnie zapędzili za kartami!

— Prawda! odrzekł Szwanda, drżąc cały, — wyrzekam się na zawsze kart.

I dotrzymał słowa. A na ofiarę dziękczynną, że bez uszkodzenia wyszedł z tak wielkiego niebezpieczeństwa, zawiesił w kościele te dudy, na których djabłu do tańca przygrywał. w swojem rodzinnem mieście Strakonicach, gdzie dotąd wiszą, i stały się powodem, że dudy strakonickie poszły w przysłowie. Pilni zaś badacze zaręczają, że w ten sam dzień roku, kiedy Szwanda djabłom na szubienicy przygrywał, dudy same z siebie mruczą.

DZIECI WDOWY.

POWIEŚĆ MORALNA.

DLA

DOJRZAŁEJ MŁODZIEŻY.

(Ciąg dalszy.)

Tu przybywszy, zaniesiono zostającego bez zmysłów Edwarda do więzienia, gdyż jeszcze nie dniało. Rozpętano mu ręce i zamieniono łańcuszki na ciężkie kajdany.

Dozorca gdy spostrzegł uwięzionego, i z odrazą w znaną mu twarz spojrzał, zdjęty miłosierdziem obmył octem skronie i pokaleczone ręce jego. Edward otworzył oczy, spoglądał jakby we śnie w około siebie, ale pokonany snem i osłabieniem, padł znów na posłanie.

— Dajcie mu pokój, mówili z piekielnem uśmiechem żandarmi ciągnąc za sobą dozórcę. Przyjdzie on jutro do siebie, niech no mu tortury członki naciągną.

Drzwi się zawarły, a Edward pozostał sam zamknięty i okuty jak zabójca. W izbie dozórcy krążyły pełne kupki z ręki do ręki, żandarmi pili z uśpionem uczuciem ciesząc się nadzieją dobrej nagrody. Zniknienie nie jednego podróżnego z bitego gościńca, było oddawna zagadką dla całej okolicy a rząd wyznaczył dwieście talarów dla tego, któryby wyśledził złoczyńców.

ROZDZIAŁ VI.

Niewinność w więzieniu i kajdanach.

Słońce się ukazało z po za fioletowych chmur widnokręgu. Okolica zrzucając z siebie ciemność przechodziła do światła, a z nadchodzącym dniem nabrało miasteczko nowego życia. Mgła poranna wiosny przesuwała się po niwach. Przez siatkę mgły ukazywały się zwykle nad drogą stojące topole, a z skalistych gór unosiło powietrze ranne na swych skrzydłach wonne zapachy do miasteczka. Skowronki ulatując w górę zanosiły swe pienia do stwórcy, i tak nadszedł dzień całą ożywiający naturę.

I Edward poruszył się na swem posłaniu.

— Smutny to był sen, wyrzekł przebudzając się, dzięki Bogu już przeminął, powstał nagle, przeciągnął przeziębłe członki, postąpił na w pół jeszcze marząc kilka kroków naprzód, lecz upadł przyciągnięty ciężarem kajdan na swoje posłanie.

Sprawiedliwy Boże, zawołał największą przejęty trwogą potrząsając kajdanami, a więc to nie sen? okrutny losie! cóż zawiniłem, że mnie tu obciążonego żelazem jak zabójcę do tej wilgotnej przykuto ściany?

Niepocieszony usiadł na posłaniu, a wsparłszy głowę na ręku gorzko począł płakać. O moja matko! biedna moja matko! zawołał, wiem teraz wszystko, nie był to sen! okrutne przeznaczenie! jestem w więzieniu!

Nie mogąc już więcej ust otworzyć na wydanie krzyku przerażenia, spoglądał osłupiało, zmysły tylko wewnętrzne nie zasnęły jeszcze. Nakoniec życie wróciło znów w jego piersi. wszystko wystąpiło powoli przed jego rozognioną wyobraźnię; zimny dreszcz go przeszedł, kiedy cierpiącej jego duszy ukazał się żywy obraz okrutnie zamordowanego, i zdarzenie całe cotylko upłynionej nocy. Oparł się o wilgotną ścianę, skłonił głowę w obie ręce i znów gorzko zapłakał.

— O moja matko! biedna moja matko! wołał bledniejąc, gdy oczy jego zabłysły gorączkowym ogniem, wiem teraz wszystko, schwytano mnie na drodze publicznej przy trupie zamordowanego, sądząc że jestem sprawcą haniebnej zbrodni. Jak się to skończy? nie mam nic wspólnego z nędznikiem, który chciwy łupu czyn ten spełnił. Z uległością znosiłem zawsze moje cierpienia, ale teraz każda okoliczność mnie potępia i nie uznany w mej niewinności własną siłą pewnie się nie wydobędę z mego położenia.

Napłakawszy się do woli, przysunął się do okna kilka kroków tylko oddalonego, chcąc spoglądać na wolną naturę; musiał się naprzód pochylić, gdyż mu kajdany przystępu do okna wzbraniały. Wysokość, w jakiej się znajdował, przedstawiała mu najwspanialszy widok pięknej okolicy czarującej Szwajcaryi, mgła, przed którą się słońce przedzierało, spuszczając się, to znów się podnosząc, pięknemi i rzadkiemi obrazami oko więźnia zachwycała.

Zachwycał się przyjemnością natury, która w oddaleniu tajemniczo swoje wdzięki rozpościerała. Po nad sterczącemi poręczami gór, wnosiły się w pobliżu śnieżne Alpy, z których lodowatego grzbietu lawiny groźnie na dół spoglądały. Przejęty zdumiewającą wzniosłością obrazu, który się jego oku przedstawiał, zatopił wzrok w spienionych bałwanach opodal znajdującego się jeziora.

Marzył i bawił się myślami przenoszącemi go w świat wesela, gdyby ranne słońce oświecające wierzchołki Gotharda. Młode wieśniaczki z sąsiedzkich wiosek niosły w czystych naczyniach mleko do miasta. Widok wesołych dziewczyn, ich modły przy krzyżu przy drodze stojącym, ich miłe śpiewy nareszcie zniewoliły nieszczęśliwego do zapomnienia na chwilę o swej niedoli.

Kiedy jednak zebrani przed bramą mieszczanie na więzienie jego wskazywali, poznał Edward, że ciekawość widzenia złoczyńcy dotąd ich zwabiła. Gwałtownie wzburzoną pierś jego

zaćmiła zwierciadło, w które z rozkoszą spoglądał; przed łzawem jego okiem powlokła się cała okolica ponurą ciemnością, jakby chciała zaginąć w nieskończonej posępności.

Różnemi przejęty uczuciami, usunął się od okna i siadł zamyślony na słomie.

— Świat będzie sądził żem jest sprawcą tej zbrodni, zawołał głęboko wzruszony, świat mną pogardzi, dla tego że mnie prawo potępia, ta wieść zabije matkę a ściągnie przekleństwo Maryi na mnie. O gdybym mógł te więzy rozerwać, zawołał potrząsając kajdanami, gdybym mógł pobiedz do matki, do Maryi, i mógł im powiedzieć żem niewinny, oni by mi uwierzyli. Ale tak jestem przeklęty za krwawy czyn nawet od tej, która mi życie dała. O wolności najwyższe dobro! jak szczęśliwym jest ten, który przy twojej oddycha piersi. Muszę się tem jedynie pocieszać, że wolność nie jest dla każdego, pozostaje mi tylko chęć w niepocieszonej rozpaczy wyryć paznokciami na wilgotnych murach mego więzienia, że wolność nie jest wspólnem dobrem, że nieszczęśliwy który nie jest wolnym, jak kaleka od natury upośledzony pocieszać się winien. O zmienny losie! tu nie masz nic doskonałego, nic bezpiecznego, nic pewnego, jak tylko śmierć sama. Cóż by mi pomogło choćbym i uszedł! pomyślał w rozpaczy, świat i kościół nie daliby mniemanemu zabójcy żadnej opieki, byłbym wolny jak ptak, a każdy mógłby mnie zastrzelić bezkarnie jak dzikiego zwierza w górach.

Strumień łez spłynął z pod jego powiek, a w rozpaczającym strachu napróżno szukał przytomności. W tem usłyszał głos organów pobliskiego kościoła, gdzie się jako w dzień świąteczny nabożeństwo odprawiało.

Dla mnie już nie masz święta, pomyślał sobie, a żadna poświęcona gromnica nie będzie się palić nad mojem ciałem. Kat mi zdejmie głowę z kadłuba, a niepoświęcona ziemia zakryje moje kości.

Wzdrygnął się mimowolnie na tę myśl, bo w tej chwili ozwała się chęć życia w jego piersi. Znów zabrzmiały organy, ale nagle zamilkły a dzwonek zwiastował podniesienie. Słodki dreszcz przejął go całego, bojaźń śmierci zamieniła się w uniesienie, a dusza jego do wyższych wznosiła się uczuć, które nie mają nic wspólnego z ziemskim motłochem czołgającym się w prochu. Edward upadł na kolana, przeżegnał się i zanosił modły gorące do tego, który sam jeden tylko znał jego niewinność. Spokojniejszy powstał.

— Mogą mi tylko życie odebrać, zawołał z wzniesionym do nieba wzrokiem, śmierć poniosę niewinnie. Gdyby nie chora matka i biedna Marya, chętniebym umierał, bo od czasu kiedy dojrzalej wszystko rozważam, poznałem tyle uciskający niedostatek i srogość ludzi. Ale moja matka ubolewa nademną, cóż się z nią, cóż się z Maryą stanie?

Znów zabrzmiały organy, a potem zaraz zapowiadał dzwonek koniec ofiary.

Twoja wola Panie, wyrzekł świętem przejęty uczuciem, i postąpił znów do okna aby świeżem odetchnąć powietrzem. Pająk rozpostarł swe sieci na żelaznych kratach okna i przesuwał się spokojnie po nitkach. Z natężeniem uważał na pilną prządkę, i spoglądał długo z zachwyceniem na coraz więcej rozciągającą się siatkę.

W tem słyszy stąpanie, które się do jego drzwi zbliżało, klucz zaskrzypiał dwa razy w zamku, a odsunąwszy ciężką zaporę, wszedł z zasępioną twarzą dozórca, obejrzał więzy Edwarda, postawił dzban wody, położył kawał chleba na ziemi przed więźniem, i chciał się w milczeniu oddalić.

— Kochany przyjacielu, zawołał Edward, kiedy się dozórca właśnie do drzwi przybliżał, czy nie raczyłbyś mi wyświadczyć przysługi?"

— Jakiej? zapytał zimno zapytany.

— Najserdeczniej bym ci podziękował, gdybyś raczył list odemnie mej matce doręczyć. Przedewszystkiem musisz mi naturalnie dostarczyć atramentu, pióra i papieru.

— Nie wolno mi żadnych przyjmować poleceń, odparł dozórca, gdybyś nie był tej czarnej zbrodni popełnił, mógłbyś sam widzieć się z krewnymi.

— Przez oczy twoje przebija się rzetelność, rzekł Edward do brodatego dozórcy. Czy możesz sądzić żem się tej zbrodni dopuścił? Przecież znasz mnie i matkę moję, bo jeśli się nie mylę jesteś Werner dawny sługa nieboszczyka ojca mego. On mi często o tobie wspominał i im bardziej się w ciebie wpatruję, tem więcej znajomemi twoje rysy mi się stają.

— Tak kochany Edwardzie, jestem Werner, a w duszy ubolewałem, widząc cię wczoraj w towarzystwie żandarmów przybywającego. I cóż

paniczu, mogło cię do tak haniebnego spowodować czynn?

— Moja matka leży śmiertelnie chora.

O nieba! rozumiem, przerwał mu Werner, bardzoś upadł. Świetne niegdyś stósunki twoje są zerwane, znikąd nie było pomocy, i o zgrozo! stałeś się zabójnikiem, zabójcą dla twej matki. To wyrzekłszy, otarł łzę spadającą po twarzy gęsto porosłej.

— O nie! odjęknął Edward, nie jestem zabójcą, tak prawda jak pragnę pomocy Boga i zdrowia mej matki. Posłuchajcież więc: szedłem drogą do Lozanny, aby prosić o pomoc jednej z przyjaciółek mej matki, zbliżał się albowiem termin zapłacenia długu młynarzowi. Jak ci wiadomo droga ta jest daleką a czas w którym miałem powrócić był krótko odmierzony, pospieszałem więc i chciałem także z nocy korzystać. Tak w ciemności postępując posłyszałem w blizkości krzyk wzywający ratunku. Pobiegłem w to miejsce, — i Wernerze, człowiek którego znam, uchodził właśnie w tej chwili, a zabity i przy nim tłómoczek leżał na drodze. Pochyliłem się do nieszczęśliwego, wziąłem umierającego w moje objęcia, a ocierając mu krew z czoła zostałem pochwycony przez żandarmów przy trupie — gdyż w moich objęciach ducha wyzionął.

Werner słuchał go uważnie, zdawał się czuć prawdę słów jego, i walczył sam z sobą w zamyśleniu. Szlachetny stan Edwarda, te rysy kwitnącej młodości, zaciemnione cokolwiek wewnętrznem strapieniem, ten wzrok nie zmięszany, wszystko to świadczyło o jego niewinności.

Głęboko wzruszony Werner, przystąpił do więźnia, odgarnął mu kłęby ciemnych włosów z wysokiego czoła i zawołał ucieszony:

— Nie jesteś zabójcą! jeżli ta twarz zmyśla, przeklinam całą ludzkość. Nie lękaj się udręczenia przykrej samotności, uspokój się, bo niewinnymi, jeźli mają pobożną duszę, nadziemskie się władze opiekują. Trzymaj się mocno wiary, a bądź pewnym że niewinność twoja niezawodnie na jaw wyjdzie. Tymczasem zostaj z Bogiem, wrócę za pół godziny, przyniosę ci co pokrzepiającego, jako też pióra, atramentu i papieru jak sobie życzysz. Jeźli złamię dziś pierwszy raz moję powinnosc, to inaczej nie mogę, a Pan Bóg mi z pewnością ten grzech odpuści. Pisząc, ochraniaj matki, prosił serdecznie, gdyż nagły strach mógłby chorą matkę życia pozbawić,

Ucieszony z łzą wdzięczności w oku, ścisnął Edward poczciwemu mężowi podaną prawicę, i dziękował Bogu, że go choć jeden człowiek za niewinnego uznaje.

— Czy mi uwierzą, rzekł Edward po odejściu Wernera, gdy nazwę młynarza? ale Boża wola, pocieszał się sam i usiadł zupełnie spokojnie na posłaniu.

Nie upłynęło jeszcze pół godziny, a już Werner wrócił z butelką wina i cokolwiek zimnych potraw, postawił żądane materyały na stole, i wezwał więźnia aby się pospieszył, gdyż go jeszcze dziś urzędnik odwiedzi.

Edward podziękowawszy, zjadł i wypił ofiarowany mu posiłek; mimo bowiem dolegliwości domagała się natura praw swoich.

Zalany łzami napisał list do Maryi, w którym ją upraszał, aby tylko ostrożnie o zaszłym przypadku matkę uwiadomiła. Werner sam się podjął list oddać, obiecując nadto Edwardowi donieść co słychać w domu. Ściśnienie ręki, spojrzenie wdzięczności, było to wszystko, czem się mógł więzień odźwiernemu na teraz odpłacić. Jeszcze raz napomniał go Werner do wytrwałości, uściskał sedecznie, i pożegnał młodego przyjaciela.

Edward pozostał sam. Wzmocniony pobożną wiarą i z uczuciem czystego sumienia, zasnął wnet snem pokrzepiającym.

Po kilku godzinach obudził go surowy głos, był to mający dozór nad więźniami, który w niebytności Wernera na chwilę go zastępował.

— Jutro będziesz słuchanym, rzekł zimno, obejrzał dokładnie więzy Edwarda, a zobaczywszy czy jest woda w dzbanku, oddalił się w milczeniu tak jak był przyszedł.

Ze spokojnością słuchał go Edward i wstąpił przyszłego dnia wsparty swoją niewinnością w około ponurych sędziów.

ROZDZIAŁ VII.

Niespodziana pomoc.

Już było późno wieczorem. Ustępujące światło dzienne powłóczyło się po woli gru-

bym cieniem, tylko błąkający się księżyc rzucał blade swe światło przez szczeliny chmur, które szumiejącym pędzone wiatrem z szybkością go mijały. Na wieży zapowiadał złowieszczy głos zegara godzinę dziewiątą. Ulice wsi były puste, stróż tylko nocny, jakby na przekór burzy uderzył w trąbkę i ogłaszał co tylko zapowiedzianą zegarem godzinę.

Tu i owdzie przedzierało się słabe światło z rozrzuconych chatek; ale i te światełka zwolna pogasły. Głębokie milczenie, przerywane niekiedy łoskotem wzburzonych bałwanów jeziora, rozlało się do koła, czarne skrzydła burzliwej nocy pokryły życzenia, kłopot i grzechy uśpionego świata.

W dolnej części wioski stała mała karczma, szarym domkiem zwana, która lubo niepozorna, mieściła w sobie ruch i życie aż do późnej nocy. Wesoły śpiew mięszał się z przeraźliwym krzykiem, z klątwami i bolesną skargą; nie rzadko też wynoszono z boleścią spokojnych sąsiadów w zgiełku ciężko ranionych ludzi.

I teraz przerwała wrzawa z szarego domku ponure milczenie. Od kilku godzin rzucano kości i grano w karty w izbie napełnionej gęstym dymem tytoniu. Nie było tu mowy o rólnictwie, o przemyśle, o religii, o polityce, ale o kartach i oszukaństwie. Nagle powstały pomieszane głosy, z niemi połączyły się klątwy i groźby, a brzęk stłuczonych szklanek i turkot wywracanych stołków świadczył dostatecznie o wzmagającej się bójce.

Jakiś człowiek w długim szarym surducie przebiegał szybkim krokiem ciemne ulice wioski, a posłyszawszy dziki krzyk stanął w bliskości szarego domku.

— Jest tam zapewne i rudy młynarz, rzekł człowiek w szarym suducie potrząsając głową, bo rzadko kiedy zdarza się we wsi bijatyka, w którejby nie miał udziału.

— Masz Pan słuszność, odrzekł młodzik za nim stojący, którego w ciemności pierwszy nie spostrzegł.

— Długo już przysłuchuję się wrzawie: gdyby temu brutalowi chcieli aby raz porządnie skórę wytrzepać, życzyłbym mu tego z całej duszy, rzekł młody człowiek.

Uderzenie padało po uderzeniu a krzyk coraz bardziej się wzmagał, nareszcie wytoczyła się zapastników zgraja do sieni. Rudy młynarz rąbał z zimną krwią w około siebie, uzbrojony w nogę od stołka. Z ran trzech przeciwników jako też z jego twarzy lała się krew strumieniem. Wydarł im się na chwilę, uderzył najbliższego w pierś, pochwycił lewą ręką innego za włosy, podczas kiedy prawą trzeciego za próg wypierał. Po krótkiej walce stanął we drzwiach sieni, przeciwnicy zaś jego leżeli krwią zbroczeni przed domem.

— Spotkamy się jeszcze, wołał jeden z rannych podnosząc się z trudnością z ziemi, jesteś oszust, szuler, nikczemnik!

Po długich zatargach odwrócił się młynarz uderzając w napełnioną pieniędzmi kieszeń, i wszedł z gospodarzem, i kilkoma wspólnikami do szynkowni, gdzie znowu grać w karty zaczęli, jak gdyby nic osobliwszego nie zaszło.

— Nie pojmuję tego, zkąd młynarz tyle bierze pieniędzy! rzekł nieznajomy w szarym surducie, młyn jego zawsze prawie stoi bezczynnym, a jednak trudni się lichwą, pije aż późno w noc i gra o pieniądze; to mnie doprawdy zadziwia.

— Tak panie, odparł młodzieniec, jest to już dawno dla nas zagadką, ale się nikt nie poważył o tem mówić, bo się każdy obawia niegodziwości jego.

Gdy tak jeszcze niejakiś czas o młynarzu rozmawiali, zagadnął nieznajomy młodego, czy nie wie gdzie mieszka pani Sternburg.

— O bardzo dobrze, odpowiedział zapytany, przejdź tylko pan za ten narożnik, ów mały domeczek na samym końcu zamieszkuje uboga ta pani, żal mi jej bardzo, bo jak słyszałem, jest ona dłużną rudemu młynarzowi sto talarów i dla tego chciał on ją przed dziesięciu dniami fantować, ale jej syn dzielny chłopak nie ścierpiał tego, pochwycił młynarza za to, że bił jego siostrę na cmentarzu, i pogroził mu pozwaniem go do sądu, gdyby jeszcze nie miał dwóch tygodni czekać. Młynarz tem spowodowany zezwolił nareszcie, bośmy to wszystko przez okno widzieli. Te dwa tygodnie także wkrótce przeminą; serdecznie ubolewam nad niedolą ubogich tych ludzi. Zkąd wezmą te sto talarów? gdybym je miał, rzekł dalej z zapałem, wierzaj mi pan, jak najchętniej bym je ofiarował.

— Dzielny z ciebie chłopak, zawołał nieznajomy w szarym surducie, uścisnął rękę młodzieńca i udał się wskazaną mu drogą. Minąwszy narożnik, ujrzał blade światełko migające się po za okiennicą oznaczonego domku. Marya

szyła jeszcze pilnie przesuwając igłą przez delikatne swe palce. Matka już była zasnęła, dobra tylko córka pracowała jeszcze w głuchej samotności. Szyderczy wicher naigrywał się zewnątrz jej samotności, przed natarczywością jego poruszały się nędzne zasłony u okien, a wierzchołek dumnej jodły ocieniający domek, jęcząc, uginął się pod jego przemocą. Błyskające światło ukazywało od czasu do czasu w wielkiem zwierciadle, które im z lepszych pozostało czasów, bladą twarz pilnej dziewicy. Znużona odłożyła robotę na bok, złożyła ręce i błagała nieba, aby Edward wzruszył serce pułkownikowej, i jak najprędzej z pomocą powrócił.

Mąż w szarym surducie przystąpił do okiennic małego domku, posłyszał wpółgłośną modlitwę, a kiedy spostrzegł przez szparę z łzawem okiem modlącą się Maryę, odwrócił się wzruszony do łez w niepewności co miał czynić.

— Bardzo mnie to boli, mówił do siebie, że jestem zmuszony oznajmić i tak już w strapieniu będącym, wieść tak zasmucającą; wachał się jeszcze długo, nareszcie rzekł stanowczo, darmo, inaczej bydź nie może i zapukał zwolna w zbutwiałą okiennicę.

Marya uchyliła ostrożnie zasłonę, aby nie przebudzić śpiącej matki i zapytała czego żąda.

Mam pani wręczyć list od Edwarda, i gdyby mnie nie były naglące okoliczności wstrzymały, byłby już dawno w pani ręku, z resztą najgorsze wiadomości chowają się na koniec. To mówiąc oddał list drżącej Maryi.

— O nieba! zawołała prawie od zmysłów odchodząc, przejrzawszy list Edwarda, brat mój w więzieniu? i padła osłabiona na stołek.

— Cóż takiego? zapytała chora ze snu przebudzona matka.

Marya usiłowała odzyskać przytomność, ale jej się nie udało, gdyż boleść tak ją ujęła, że mówić dalej nie mogła, i rzuciła się w nieukojonym żalu głośno płacząc na łoże matki.

— Jezus Marya! cóż ci to moje dziecko? mówże nie zabijaj mnie twojem milczeniem!

— Otwórz luba panienko, zawołał przez okno mąż w szarym surducie, ja muszę choć mi to przykro przychodzi, sam godnej matce wszystko opowiedzieć.

Marya otworzyła, a za nią wszedł nieznajomy, któremu chora w oczy spojrzawszy z zadziwieniem zawołała:

— Nie tyś kochany Wernerze?

— Tak droga pani, odrzekł zagadniony, jestem Werner i walczyłem kiedyś przy boku nieboszczyka jej męża.

— Gdzież się teraz bawisz, zapytała go dalej pani Sternburg, która w swej słabości na widok Wernera w ten moment o zaszłej dopiero scenie zapomniała.

— Jestem dozórcą więzienia w mieście Lucern.

— Dozórcą? czy nie wspomniała co tylko Marya, że Edward jest w więzieniu? mów Wernerze co się stało? co cię do nas sprowadza?

— Nieprzyjemna nowina łaskawa pani, odparł Werner, syn pani każe ją przezemnie serdecznie pozdrowić.

— Gdzież jest Edward? zapytała do najwyższego zniecierpliwiona matka.

— Syna pani uwięziono z przyczyny podejrzenia jakie na niego padło, ale niezadługo będzie znów u pani, gdyż on jest niewinnym, tak prawda jak to, że żyję.

— Biedny synu, ubolewała matka, ty jęczysz w więzieniu, a my ci pomódz nie możemy. Jakież cięży na nim podejrzenie! dla czegóż go pojmano? wzrok wasz Wernerze powiada mi, że nie tak rzeczy stoją, jak je we mnie chcesz wmówić, wytłomacz się przecie.

— Na drodze do Lozanny zabito podróżnego tej samej nocy, w której się syn pani tam dotąd udawał. Na krzyk wzywający pomocy, pospieszył czemprędzej i spostrzegł rudego młynarza, a pochyliwszy się do zamordowanego, zdjęty miłosierdziem, został pojmanym przez dwóch żandarmów, sądzili bowiem... — tu zamilkł Werner, poznawszy że zanadto już powiedział.

— Że jest zabójcą, przerwała z strasznem przeczuciem matka, i padła bez zmysłów omdlała na łóżko.

— O Zbawicielu cóż ja najgorszego zrobiłem! wołał z coraz większym kłopotem przestraszony Werner. Udaj się panna co prędzej po lekarza, inaczej umrze nam słaba ta pani w naszych rękach.

Marya zarzuciła chustkę na szyję, i wybiegła za próg. Zasmucona stanęła w progu i z płaczem rzekła do Wernera:

— Idź pan lepiej sam, bo na moją prośbę lekarz nie przyjdzie, wie on dobrze że nie mamy mu czem zapłacić.

— Niech tego nędznika zaraz piorun... — pomruknął rozgniewany Werner. Zostań się panienko już ja tego szelmę sprowadzę.

Kiedy Werner usunął ramię, na którym się chora opierała, ta przychodząc cokolwiek do siebie otworzyła mdłe oczy, i zawołała cichym głosem:

— Zostań Wernerze, już mi jest lepiej, nagły strach był tylko przyczyną mego omdlenia. Powiedzże memu synowi, że jeźli jest niewinnym — czego się dalibóg spodziewam — niech z cierpliwością i poddaniem się ponosi cierpienia, jakie mu Opatrzność przeznaczyła — i że to jest życzeniem matki. Pozdrów mi go serdecznie i powiedz — że ja i Marya co godzinę za niego się modlimy, ale też oprócz tego więcej dla biedaka uczynić nie możemy. Ciebie kochany Wernerze upraszam, obchodź się z nim jako z synem twego dawnego pana, który cię z niebezpieczeństwem własnego życia ocalił. Nigdy Wernerze nie byłabym ci tego na pamięć przywodziła, ale teraz jęczy mój syn w więzieniu a żądam tylko na odwet ludzkiego z nim obchodzenia się, ażeby nieszczęśliwy dwojako nie uczuł, że jest pozbawionym najwyższego dobra t. j. wolności. Przyrzecz mi to.

Tu podała Wernerowi rękę, który ją po dwakroć całując, solennie przyrzekał, że Edwardowi prócz wolności i oglądania swoich, na niczem zbywać nie będzie.

— Tak, teraz idź z Bogiem mówiła skłopotana matka, pielęgnuj mego syna i bądź jego pocieszycielem w samotnem więzieniu.

Werner odszedł, Marya wzięła lampę ze stołu i odprowadziła go aż na próg domu, a polecając mu wielokrotnie pozdrowienia dla brata, prosiła go usilnie aby się starał smutne jego położenie, o ile będzie mógł osładzać.

Werner przyrzekł wszystko, a kiedy mu Marya na pożegnanie rękę podała, spojrzał wzruszony w zapłakane oko dziewicy.

— Przebacz droga pani, zawołał zmięszany, jeżeli dobieranemi słowy nie umiem przemówić do ciebie, ale wiedz zarazem, że to co mówię, z czystego pochodzi serca. Jak słyszałem, rzekł dalej z rozrzewnieniem, winniście państwo młynarzowi sto talarów, czas odpłaty jutro się kończy, a że teraz właśnie Edwarda nie masz, to by wam ten nędznik niezawodnie resztę dobytku zabrał. Przyjmij więc pani choć lichy tylko dowód mej wdzięczności i przywiązania.

To mówiąc sięgnął do kieszeni i wręczył Maryi sporą rolę pieniędzy.

— Ojciec wasz ocalił mi życie, wystawiając swe własne na niebezpieczeństwo. Leżałem raniony w ramię pod ubitym koniem, jeden z Szwedów spostrzegł, że jeszcze oddycham i zamierzał mi pałaszem rozrąbać głowę. Zamknąłem oczy, aby śmiertelnego ciosu nie widzieć, i nie myślałem, że się kiedy w tem życiu obudzę. W tem pada strzał, a Szwed ugodzony kulą waszego ojca, pada bez duszy obok mego ubitego konia. Otworzyłem oczy, ojciec zsiadł z konia nie zważając na grad kul szwedzkich, pobiegł do mnie, wydobył z pod ubitego konia i wsadził za siebie na swego rumaka. A tak uszedłem pewnej śmierci.

— To opowiadam pani dla tego tylko, abyś mi nie dziękowała za przysługę, którą wam wyświadczyłem, bo nigdy stósownie wypłacić się nie mógłem a i teraz tylko małą cząstkę mego długu odpłacam. Byłem wzięty do lazaretu a gdym wyzdrowiał i znów mógł dosieść konia, ojciec pani już był zasnął na wieki.

Ostatnie mówiąc słowa, ocierał łzę z oka i z trudnością tylko zwalczał boleść, która na wspomnienie wybawcy życia, w jego duszy powstała. Po krótkiem milczeniu ścisnął jeszcze raz rękę Maryi i rzekł:

— Tego co zostanie użyj pani na wygody dla matki, a o Edwarda ja się starać będę. Po tych słowach spiesznie się oddalił, a wołanie Maryi nie doszło już uszu spiesznie uchodzącego.

— Matko! matko! wołała, Pan Bóg nam dopomógł i położyła rolę z pieniędzmi, wylewając łzy radości na łoże swej matki.

— O mój Boże, wołała drżąca z radości matka, podnosząc się z łóżka, zkądże ty moje dziecko do tyle pieniędzy przyszłaś? któż był tym aniołem pociechy w ludzkiej postaci?

— Werner mi je dał, odpowiedziała pobożna córka wdowy, mam niemi zaspokoić rudego młynarza, a resztę na twoje użyć potrzeby, o Edwarda zaś on się starać przyrzekł. Nie czekając mego podziękowania oddalił się i skręcając się w narożnik ulicy zniknął wnet z mych oczu.

— O poczciwa duszo, zawołała chora matka, tak on się będzie z pewnością o Edwarda starał, i jeżeli Bóg pozwoli, to i on lubo teraz uwięziony wnet się z nami zobaczy. Chodź

Maryo, pomodlimy się przed spoczynkiem za twego brata i naszego dobroczyńcę.

Obie złożyły ręce i dziękowały w gorących modłach dobremu i wszechmocnemu Rządcy świata za prędką i niespodzianą pomoc w ucisku i największej nędzy.

ROZDZIAŁ VIII.

Osądzony.

W pokoju czarno obitym siedzieli poważni sędziowie, z blademi po większej części twarzami, przy niekształtnem biórku. Tylko szelest przewracania kart wielkich ksiąg i pojedyncze niezrozumiałe wyrazy przerywały posępną ciszę, która jak się zdaje, wszystkich ogarnęła.

Edward nie mógł przezwyciężyć pewnej obawy w obec twarzy surowych sędziów, i serce jego głośno bić poczęło. Oczy wszystkich na niego były zwrócone, jakoby się siliły wkraść się w najgłębsze jego tajniki. Na stole stał krucyfiks, przy nim dwie palące się świece.

Posępny kancelista wchodząc z poważną miną pochwycił za pióro i począł ozdobnie kreślić formuły protokułu.

Edward musiał wszystko szczegółowo opowiadać, a ze wzruszania ramion inkwirentów nie mógł się nic pocieszającego spodziewać. Z niewymuszoną otwartością wyznał, w jakim celu puścił się w podróż, i jakim go sposobem przy zabitym spotkano.

Po wielu przekonywających dowodach, ozdobionych szumnemi i sztucznemi wyrazami zapytał się sędzia z dwuznacznym uśmiechem:

— A mógłbyś też prawdę twego zeznania poprzysiądz? Wszak miałeś odwiedziony pistolet, wtenczas kiedy cię żandarmi pochwycili, do czego chciałeś go użyć?

— Posłyszałem za mną szelest, przystąpiłem do trupa, i odwiodłem pistolet, aby być przygotowanym do odparcia napaści — co przecież i panowie znajdziecie zapewne naturalnem. Któżby w moim miejscu nie był tego uczynił? Gdy się jeźdzcy zbliżyli i ja ich po ubiorze poznałem, byłem zaspokojony, i chciałem im wszystko opowiedzieć, com widział. Ale oni zamiast ścigać prawdziwego zabójcę, pojmali mnie bez wysłuchania, wymyślając nademną, że choćbym istotnie był sprawcą zbrodni, takie obejście się ze mną nie byłoby jednak stósowne.

— W jakim celu nosiłeś nabity pistolet przy sobie?

— Musiałem korzystać z nocy, a że od niejakiego czasu kilka łupieztw w tej okolicy popełniono, wziąłem tę broń dla mego bezpieczeństwa z sobą.

— Kiedy, jak sam zeznajesz, na krzyk przybiegłeś, powiedzże, jak daleko mógł być od ciebie oddalonym uciekający zabójca.

Temu zapytaniu towarzyszył przenikliwy wzrok sędziego, którego z pewnością winowajcę był zmięszał.

— Mniej więcej dwadzieścia kroków, odpodział spokojnie Edward.

— Dobrze, ale kiedyś miał ku twej obronie pistolet przy sobie, i skoroś spostrzegł uciekającego w krzaki mniemanego zabójcę, który jak mówisz dwadzieścia tylko kroków był od ciebie oddalonym, dla czego dobrym będąc strzelcem, nie strzeliłeś za nim?

Ostatnie słowa wymówił sędzia z szyderczem spojrzeniem, którem Edward obrażony nieco się zarumienił, zgromadzeni zaś urzędnicy wzdrygnęli tylko ramionami.

Przejęty nieukojoną boleścią, stał Edward niewidząc najmniejszej dla siebie nadziei, wiedział bowiem dobrze, że przy potępiających go okolicznościach: wszyscy go za zabójcę uznają. Z nieugiętą stałością przytłumił powstającą w piersi boleść, i stanął z powagą w kole sędziów.

— Moi panowie, mocne podejrzenie tak mnie w swe sieci wplątało, że siły moje roztrącą się z pewnością o tajemniczą moc jego. Jeżeli mi Pan Bóg nie dopomoże, będę osądzonym, choć jestem zupełnie niewinnym, z ócz waszych moi panowie wyczytuję nadto dobrze wyrok śmierci dla mnie. Pytałeś mnie pan, mówił zwracając się do sędziego, dla czegom nie strzelał za zabójcą? Dla czegom tego nie uczynił, sam w tej chwili nie pojmuję. Ale oto przy tym wizerunku Zbawiciela mogę poprzysiądz, żem nie miał żadnego udziału w przeklętej zbrodni. Widziałem uciekającego złoczyńcę, i zdaje mi się, żem w nim rudego poznał młynarza.

— Czy możesz poprzysiądz, że on był zabójcą?

— Sądzę się być pewnym tego, ale, że się czasem co z pewnością utrzymuje, a jednak jest omyłką, dla tego i ja nie chcę przysięgać w sprawie, gdzie chodzi o życie.

Sędziowie spuścili głowy, wzruszyli ramionami, a z ich wzroku złowieszczego, można było wyraźnie potępiający wyczytać wyrok. Protokuł się skończył, a Edwardowi upłynęła reszta dnia w głuchej i nieprzerwanej spokojności.

Nazajutrz przybył Werner do niego: z jego przestrachu i ponurego wzroku powziął Edward nie najlepszą dla siebie nowinę.

— Mów co się stało! rzekł do Wernera, jakiż zapadł na mnie wyrok? twarz twoja zapowiada nieszczęście, ale bądź co bądź powiedz mi, jestem na wszystko przygotowany.

Werner milczał.

— Wernerze czy jestem osądzony? nie wzdrygaj się, powiedz mi wszystko.

— Jesteś osądzonym.

— O zgrozo! zawołał Edward, który zdawał się upadać pod ciężarem pewności, jaką przeczuwał.

— Młynarz się wywinął, nadto jeszcze zaświadczyło kilku wieśniaków, i gospodarz szarej karczmy, że on pod ten czas z nimi się bawił, i tak wszystkie dowody cię potępiają i...

— I będę ściętym, wszakże tak? przerwał Edward.

Wener poskramniał swój żal i milczał.

— O nieba! jak silnie mnie zły duch podejrzenia owładnął! wołał Edward. Jestem osądzonym! ta myśl dreszczem mnie przejmuje, zdaje mi się, że drżę, ale Wernerze! nie wstydzę się tej słabości, bo nie drżę dla siebie tylko, to gwałtowne bicie serca pochodzi z obawy o los matki i siostry. Wnet wrząca krew, która szybko żyły moje przebiega wykipi na hańbiące deski rusztowania.

Edward zamilkł, a Werner nie odważył się przeszkodzić nieszczęśliwemu młodzieńcowi w rozmyślaniu o śmierci.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TANIE LECZENIE DOMOWE ROZMAITYCH CHORÓB.

(Ciąg dalszy.)

Na pomnożenie pokarmu, Kopr i Mlecz żółto kwitnący.
Oparzone lub odmrożone członki, leczy Szalej (liście) i korzeń Lilii białej.
Płynienie krwi z nosa, leczą Jerzyny czarne.
Plucie krwią, leczy Kocanka.
Przełamane dzieci, leczy Kosmaczek (ziele).
Parchy, leczy Kruszyna krzew, korzeń Trzciny a osobliwie Oman.
Podłamanie brodawki, leczy Podbiał i korzeń Lilii białej.
Przytępiony słuch, leczy Betonika.
Puchlinę, leczy Perz, Jałowiec, Krwawnik.
Paraliż, leczy Gorczyca, Lewanda, Jagody św. Jana.
Płód martwy, leczy Żmijówka i Maruna.
Przeciw poronieniu, Wężownik (ziele).
Puchlinę w tajemnem miejscu, leczy ziele Żorawie noski. Geranium herba roberti.
Rodzenie ciężkie, leczy Macierzanka, Majeran i Mlecz żółto kwitnący, Tarexacum.
Różę, leczy Lilia biała, Podbiał, Kwiat konopny.
eumatyzm, leczy Kokoryczka, Jagody świętego Jana.
Rany, leczy Ślauz, Zangiel, Babie zęby (ziele).
Ruptury, leczy Żywokost, Babie zęby, Zangiel i Żabie gronka (ziele).
Suchoty, leczy Perz, Krwawnik wodny, Podbiał, Pięciornik, Żywokost i Weronika (ziele).
Szum w uszach, leczy Majeran, Mlecz żółto kwitnący.
Szkorbut, leczy Krwawnik wodny, Podróżnik, Rzezucha ogrodowa, Stokrotka, Wer nika.
Upławy, leczy ziele Jeleni język, Cotorach scolapendrie, Kokoryczka, Zwiesinosek, Weronika.
Womity, leczy każda Mięta i Wężownik, Bestorta zwany.
Wrzód w gardle, leczy Kocanka, Zangiel, i Szałwia, Agarik bzowy.
Zaraźliwą chorobę, leczy Dzięgiel, Angelica zwany, Ruta, Dziewięćsił, Cardopatium zwane.
Złamanie kości, leczy Żywokost.
Zapalenie wątroby, leczy Rzęsa wodna.
Zgniłą febrę, leczy kąpiel z Ruty polnej.

(Dalszy ciąg nastąpi.)